

GRAHAM
MASTERTON



FOBIA

GRAHAM
MASTERTON

FOBIA

Z ANGIELSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
KAROLINA MOGIELSKA



Tytuł:
Fobia

Tytuł oryginalny: Phobia
Copyright © by Graham Masterton, 1980
Copyright © by Wydawnictwo Lingua Mortis, 2025
Polish translation copyright © Karolina Mogielska, 2025
Copyright © for cover illustration by Sławomir Jarząb, 2025

Redakcja: Kalina Jankowska, Sławomir Jarząb
Korekta: Magdalena Paluch
Projekt graficzny okładki: Sławomir Jarząb
Ilustracje wewnątrz książki: Maciej Klimek
Skład i łamanie: Kalina Jankowska

ISBN 978-83-972548-0-0 (oprawa twarda)
ISBN 978-83-973270-6-1 (e-book)

Wszelkie prawa do polskiego wydania zastrzeżone. Powie-
lanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez
uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych
praw jest zabronione.

Wszelkie podobieństwo osób, imion, nazwisk czy sytuacji
w powieści jest przypadkowe.

2025, Wydanie I
Wydawnictwo Lingua Mortis

LinguaMortis.eu

facebook.com/wydawnictwolinguamortis
instagram.com/linguamortis_ph



„Gdyby szalowiec wszedł do tego pokoju z kijem w ręce, bez wątpienia powinniśmy ubolewać nad jego stanem umysłu; lecz na względzie powinniśmy mieć przede wszystkim dbałość o nas samych. Najpierw powinniśmy go powalić, a dopiero później mu współczuć.”

– Dr (Samuel) Johnson

„Świat to nie miejsce dla złych ani głupich, ani też dla słabych. Ich powinnością – równie ważną! – jest umrzeć. Śmierć porażki! Oto ścieżka, którą człowiek podąża ku rzeczom zacniejszym.”

– H. G. Wells, Gdy śpiący się zbudzi

ROZDZIAŁ 1

To był jeden z tych dni, podczas których niebo nieustannie się zmieniało – naprzemiennie to rozpozadzało się, to pochmurniało, a światło słoneczne pojawiało się i znikało, niczym fotografie w starym rodzinnym albumie.

Jako pierwsze, zdjęcie małego domku z czerwonym dachem, na obrzeżach La Canady, milę lub dwie na północ od Pasadeny, wśród chłodniejszych pagórków pasma górskiego San Gabriel. Następne zdjęcie: ojciec z krótkimi włosami pełnymi brylantyny, w szarych, szerokich portkach, żwawo pucujący na podjeździe nowego dodge royala. Jest także zdjęcie matki, smukłej i wysportowanej, w chuście w zielone grochy na głowie, rozkładającej sobotni lunch na kuchennym stole i słuchającej piosenki *Reflections in D* Duke'a Ellingtona, którą właśnie grano w radio.

Na zewnątrz, na odbijającym się w pofalowanej przez bryzę powierzchni basenu podwórzku dwoje dzieci bawiło się w najlepsze. Mała pięcioletnia

dziewczynka z lśniącymi, brązowymi włosami i w zbytnie słodkim, różowym stroju kąpielowym, a także siedmioletni chłopiec z grubymi lokami i buńczucznie zmarszczonym czołem, z jakim chłopaki w jego wieku potrafią paradować cały dzień. Wokół nich szczebiotały ptaki, szeleściły liście i radośnie igrało światło słoneczne, które raz po raz to pojawiała się, to znów znikowało.

– Dolly chce popływać – oznajmiła mała dziewczynka (właściwie było to ledwo słyszalne w powiewającym wietrze i w dobiegającym z oddali odgłosie buldożera pracującego nieopodal przy budowie nowego supermarketu).

– Ona się utopi, głupia! – powiedział mały chłopiec, osłaniając się ręką przed oslepiającym światłem i rysując kredą na patio bużki astronautów, kowbojów i klaunów, a także twarze gangsterów. Była to jedna z tych niepokojących i nie do końca przypadkowych rzeczy, o których nigdy nie zapomniał.

– Ona już potrafi pływać. Nauczyła się.

– Nie potrafi pływać. W jaki sposób miałyby to zrobić? Woda zawsze wypływa przez dziury w jej gałach.

– Nauczyła się trzymać je zamknięte!

– Jak mogła się tego nauczyć, skoro nie ma mózgu?

– Ona ma mózg!

Chłopiec przez chwilę obserwował swoją siostrę w ciszy.

– No dobra, wrzucić ją. Zobaczysz, jak dobrze pływa. A potem zobaczysz, co na to tatuś, kiedy lalka wyląduje na dnie basenu.

(I teraz, jedna z tych długich, pełnych napięcia minut, o których później zawsze się pamięta, bo są naszpikowane drobiazgami, takimi jak ledwo słyszalna muzyka lecąca akurat w radio przez otwarte kuchenne okno, przy akompaniamencie mydlin spływających z zakrzywionej maski szorowanego auta, z dźwiękiem zegarka na kuchence i stłumionym śmiechem dzieci znajdujących się w pokoju obok. I to uczucie, pojawiające się zupełnie bez powodu – no może jedynie dlatego, że rodzice, jak to rodzice, zawsze są wyczuleni na każdy, nawet najmniejszy dźwięk wydawany przez swoje dzieci. Zwłaszcza taki, który zwiastowałby, że gdzieś wydarzyło się coś złego).

Mała dziewczynka ostrożnie pochyliła się nad basenem. Wirując, lalka w przemoczonej, różowej sukience powoli tonęła w migoczących jak kawałki rozbitego lustra wodnych refleksach. Chłopiec, z językiem wystawionym pomiędzy zębami, zawzięcie rysował kredą kapelusza Dicka Tracy'ego.

Ledwo słyszalne dla chłopca „Dolly się topi”, a po nim rozbryzgujący się plusk wody oraz bulgotanie. Dopiero dźwięk rozhułanej i uderzającej o niebieskie boki basenu fali sprawił, że chłopiec spojrział w tamtą stronę. Zobaczył małą piąstkę swojej siostrzyczki, która kurczowo zaciskała się i rozluźniała nad powierzchnią wody.

Powoli wstał na nogi. Równie dobrze mógł to zrobić szybko, jednak za każdym razem gdy o tym śnił, wydawało się mu, że jego ruchy były zbyt powolne i jakby lepkie, zupełnie jak gdyby czas zmienił się w kleisty i gęsty miód. Pobiegł wzdłuż basenu, a biegnąc, widział twarzyczkę swojej siostry tuż pod taflą wody, z buzią i oczami szeroko otwartymi, zupełnie jakby krzyczała do niego bezgłośnie. Uklęknął przy boku basenu, boleśnie obcierając kolana o beton. Próbował do niej sięgnąć, ale znajdowała się zbyt głęboko. Mógł tylko przypatrywać się, jak powoli tonie, z kaskadą wirujących wokół niej włosów i z dziwnie krótkimi na skutek załamań światła w tafli wody, jak u krasnala, rękami i nogami. Jej twarz wyglądała na sinobiałą, a jej różowy kostium kąpielowy zdawał się być szary.

Uniósł wzrok. Jego matka stała właśnie w kuchennych drzwiach, wycierając swoje dłonie w fartuszek. Jej mimika była wystudiowana i pozbawiona wyrazu, zupełnie jakby fotograf poprosił ją, by pozowała w ten sposób. *Tragedia na przedmieściach* spod pędzla Andrew Wyetha, w stylu malarstwa temperowego, okraszona strachem. I z tą wciąż trwającą, przytłaczającą ciszą.

W chwili, kiedy tata wpadł do ogrodu przez wymalowaną na biało boczną bramę, niebo przecięł krzyk:

– Suzie! O mój Boże! Suzie!

A potem wycie mamy, dziwne i wysokie, wręcz piskliwe, które z pewnością powstrzymałoby uciekającego psa przed dalszą ucieczką, i głośny plusk nurkującego w ubraniach taty, rozbryzgującego krople wody niemal sięgające kreozotowego płotu. Kiedy w końcu się wynurzył, ciężko dyszał i młócił rękoma powierzchnię wody. Wszędzie, nie wiadomo skąd, pełno było sąsiadów, którzy pomagali tacie wyjść z wody. Słyszał kobietę mówiącą raz za razem: „Nie wierzę w to. Nie wierzę w to”. Stał nieco dalej od przepychających się pomocników, z rękami przy bokach, przygryzając nerwowo wargę, zeszywniały na skutek wiedzy, która huknęła go z całych sił, a której dorośli nie chcieli do siebie dopuścić – że Suzie utonęła.

Słońce schowało się za chmurą, by za chwilę znów się pojawić, migotając i wywołując uczucie dyskomfortu. Jego tata stękał i rzeził, próbując wypompować wodę z płuc córeczki. Mama natomiast jęczała głośno, niemal skowycząc tak przeźliwie, że ledwo mógł to znieść. Rozejrzał się po podwórzu i ujrzał swój rysunek Dicka Tracy’ego z kawałkiem kredy, który wciąż leżał tam, gdzie go zostawił.

– Daje jakieś oznaki życia? – zapytał jeden z gapiów. – Czy ktoś poda lusterko, aby sprawdzić, czy oddycha. O, tak!

– Co do diabła zatrzymało tę karetkę? Czemu nie ma ich tak długo?

– Mój Boże, nie słyszałam nic, zupełnie nic. On nawet nie krzyczał, nie wołał. Po prostu coś mnie tknęło i poszłam zobaczyć, czy wszystko u nich w porządku. Dacie wiarę? On nawet nie wołał o pomoc.

W oddali, pośród zgrzytu pracujących spycharek, usłyszał wycie syreny. Nie było sposobności w tym gąszczu owłosionych nóg dorosłych w białych skarpetach i tenisowych butach, żeby zobaczyć Suzie chociaż na moment. Dopiero gdy jeden z nich się przesunął, zdołał rzucić okiem w jej kierunku. Zobaczył płataninę brązowych włosów, na wpół już wyschniętych, oraz blade ramię. Tak bardzo pragnął uklęknąć przy niej, by powiedzieć jej, jak bardzo ją kocha i jak bardzo jest mu przykro. Pragnął jej dotknąć, ale było zbyt wielu dorosłych wokół niej. Zdołał jedynie zauważyć, jak jego tata był zdenerwowany i wytrącony z równowagi.

Spojrzał w stronę basenu. Lalka, w połowie zanurzona, wciąż unosiła się na powierzchni, wirując i mrugając za każdym razem, gdy uderzała w nią fala. Wyłowił ją ostrożnie i ścisnął tak, że cała woda zaczęła wyciekać jej oczami.

Gdy tylko ucichły odgłosy syreny, a później dźwięk pracujących buldożerów i rozmowy zebranych, nastąpiła niespodziewana cisza, jakby się zmówili. Jedynym dźwiękiem był odgłos wyciekającej z powrotem do basenu wody z odwróconej do góry nogami lalki.

Tata odwrócił się do niego i, zobaczywszy, co robi, zastygł w osłupieniu, z niemym zapytaniem w geście kompletnego niedowierzania.

– Twoja siostra nie żyje – powiedział surowo, choć delikatnie.

Chłopiec nie wiedział zupełnie, co powinien zrobić. Rozejrzał się za swoją mamą, lecz nigdzie nie mógł jej dostrzec. Wiedział, że jego siostra była martwa. Wiedział to od chwili, kiedy biegł wzdłuż basenu. Wiedział od chwili, gdy się zorientował, że do niego wpadła i zdawała się krzyczeć spod powierzchni, zupełnie jakby się z nim żegnała, będąc już w innym miejscu.

Ostatnie krople wody wyleciały z lalki.

– Jak możesz tak po prostu sobie stać i robić takie rzeczy, kiedy twoja siostra nie żyje! – wrzasnął ojciec, szarpiąc go i popychając.

– John, nie sądzę, aby on... – I poranek rozpadł się w strzępy głosów, twarzy, urywków obrazów światła i cienia oraz noszy na kółkach przykrytych cytrynowożółtym kocem.

Resztę popołudnia spędził u sąsiadów. Słońce nadal raz po raz to chowało się, to znowu wychodziło zza chmur, rzucając promienie przez kuchenne okno. Nie wypuścili go na zewnątrz, aby mógł się pobawić – w zamian usadzili go przed telewizorem. Zasnął na rustykalnej, obitej perkalem sofie w połowie filmu *I love Lucy*, w którym Desi Arnaz dostał porannych mdłości w geście solidarności z ciężarną Lucy. Obudził

się w porę, by usłyszeć swoich rodziców w korytarzu na zewnątrz.

– Daj jej coś na sen, no wiesz, po to, żeby...

– Nie znajduję słów, by powiedzieć, jak bardzo mi jest przykro...

– Nagły...

– Gdyby tylko mnie zawołał... Zupełnie tego nie rozumiem. Gdyby tylko mnie zawołał...

Wtedy jego ojciec wszedł do środka i przystanął. Obserwował go przez dłuższą chwilę. Wiedział, że wcale nie śpi, ponieważ zamknięte powieki chłopca drgały.

– Rusz się, kowboju – rzucił tata, pochylając się nad nim. – Czas wracać do domu.



ROZDZIAŁ 2

Podniósł tablicę z wykresem, żeby pozostali lekarze specjaliści mogli mu się przyjrzeć. Na samym krańcu wypolerowanego stołu doktor Clegg wyjął z kieszonki znajdującą się na jego piersi parę okularów w rogowej oprawie i przyłożył do oczu, mrużąc je, jakby właśnie zjadł cytrynę, co oznaczało, że zapiski na tablicy wydawały mu się tak samo niewyraźne do zobaczenia jak zrozumienia. Nie dał się jednak zbić z tropu. Po prostu kurtuazyjnie skinął głową w kierunku Clegga, wskazując ołówkiem na rosnącą linię na wykresie z dziarskością człowieka, który wie, o czym mówi.

– Ta krzywa jest miarą postępów mojego pacjenta – powiedział. – Na osi poziomej mamy czas terapii, w stosunku do empirycznej poprawy na osi pionowej. Jak widzicie, przebiega ona dosyć wolno. Rzekłbym nawet, że nieco wolniej, niż początkowo zakładałem. Musimy jednak pamiętać o wadze zaburzeń, z którymi tutaj pracuję, oraz o wszystkich współwystępujących wraz z nimi

problemach, które niestety muszą być brane pod uwagę w tym samym czasie.

– Oczywiście jest, że specyficzne fobie naszych pacjentów to jakby tylko wierzchołek góry lodowej stanu, w którym się znajdują. Dlatego dodatkowo muszę radzić sobie z psychologicznymi konsekwencjami zaniedbań środowiskowych, społeczną niechęcią, uzależnieniem od narkotyków, alkoholizmem, a także wycofaniem instytucjonalnym i z tym, o czym tylko jeszcze zdołacie pomyśleć. Poza zwalczaniem ich irracjonalnych lęków muszę być dla nich pracownikiem socjalnym, a także księdzem, przyjacielem, analitykiem, a nawet ojcem. W sumie to większość z pacjentów rzeczywiście traktuje mnie, jakbym był ich ojcem.

– Coś w rodzaju psychologicznie wykwalifikowanego świętego mikołaja – podsumował oschle doktor Clegg.

Pozwolił sobie na uśmiech. Doskonale wiedział, że doktor, mimo całego swojego sarkazmu, zawsze starał się być bezstronny, sprawiedliwy i życzliwy. Doktor Clegg po prostu lubił używać swojego przyprószonego siwizną doświadczenia oraz dowcipkować z zachowaniem twarzy pokrzysty. Robił to, żeby zbić swoich kolegów z tropu i sprawić, aby zacieklej zaczęli bronić swoich terapii i by byli pewni, że gdy zasiądą przy stole dyskusyjnym, ich notatki będą dopięte na ostatni guzik tak zwięźle i precyzyjnie jak szwy zakładane przez neurochirurga.

– Aspekt resocjalizacji w naszej pracy jest kluczowy – odpowiedział doktorowi. – Pomijając przewyższanie ich lęków związanych z wysokością, wodą czy zamkniętymi przestrzeniami, moi pacjenci muszą nauczyć się adaptować w społeczeństwie, które ukarało ich za to, z czym się borykają. Muszą zwalczyć swój lęk przed banieciem się.

– Jak daleko to wszystko sięga? – zapytał doktor Clegg. – Tylko mi nie mów, że muszą przewyższyć swoje obawy przed lękiem przed banieciem się... i tak dalej!

– Póki co radzą sobie całkiem nieźle – zripostował. – Wszystko wskazuje na to, że będziemy w stanie dokończyć badania w wyznaczonym do tego przedziale czasowym, mimo nieprzewidzianych opóźnień. Co więcej, zgodnie z tym, co pokazuje wykres, większość moich pacjentów właściwie ma przepracowane już jakieś siedemdziesiąt procent całej terapii.

W sali rozbrzmiał pomruk zadowolenia i aprobaty ze strony zgromadzonych przy stole lekarzy specjalistów. Rzucił więc pospiesznie okiem na siedzącą obok Clegga doktor Alice Toland, która posłała mu dyskretny uśmiech i nieznacznie skinęła głową.

– Sądzę, że powinniśmy złożyć gratulacje doktorowi Rossowi – stwierdziła.

Z całego towarzystwa tylko doktor Clemens wyglądała na nieporuszoną. Zamknęła swój notes z głuchym plaśnięciem, jakby chciała nim złapać mysz, i usiadła ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Była niską kobietą z ostro ściętymi włosami i o ścisłym umyśle, która zawsze mówi to, co myśli.

– Czy ma pani odmienne zdanie, doktor Clemens? – zapytał doktor Clegg.

– Oczywiście – odpowiedziała bez ogródek, jakby nie było to wystarczająco widoczne. – Co prawda nie w sprawie motywów, jakimi kierował się doktor Ross. Jestem przekonana, że są nienaganne lub, wręcz bym powiedziała, świętobliwe. Przechodząc jednak do rezultatów: widziałam się z jednym czy dwoma z pana pacjentów, kiedy wracali z pana gabinetu, doktorze Ross. Jedyne, co mogę powiedzieć, to to, że jeżeli tak wyglądają po przebrnięciu siedemdziesięciu procent pańskiej terapii, to Boże miej ich w opiece, gdy przejdą przez całą.

– Co dokładnie próbuje pani zasugerować? – zapytał Ross, starając się, aby jego głos brzmiał beznamiętnie i możliwie najspokojniej. – Może to, że...

– Nie próbuję niczego zasugerować – przerwała te wywody. – Ja najzwyczajniej w świecie wyrażam opinię, iż pańscy pacjenci po terapii wyglądają, jakby co najmniej stratowało ich stado bawołów.

Doktor bez słowa ponownie rozłożył swój wykres. Odczekał chwilę, ostrożnie oblizał usta, po czym rzucił pewnie:

– Wyglądają tak, pani doktor, ponieważ ekspozują ich na doświadczenia dziesięć razy bardziej traumatyczne aniżeli bycie podeptanym przez jakąś krowę czy nawet całe stado bydła. Muszę ich zabrać

w samo centrum, aż do jądra ich najgłębszych lęków, a dokładnie do punktu, gdzie ich fobie są zakorzenione. I to właśnie tam muszę pozwolić im zmierzyć się z tym, czegokolwiek się obawiają.

– Och, a zatem, jak się okazuje, święty mikołaj był raczej kiepskim porównaniem – odparł doktor Clegg.

Ross zlekceważył go.

– Wiecie państwo, jak scjentolodzy uparcie powtarzają słowa, dopóki te nie stracą wszystkich swoich przerażających skojarzeń? Cóż, to jest właśnie dokładnie to, co robię ja – poza faktem, że robię to z użyciem kolorów, dźwięków i w trójwymiarze. Za każdym razem, gdy pacjenci idą do mojego gabinetu, doświadczają swoistego dla nich rodzaju piekła, tak realnego, jakim tylko mogę je uczynić. Wychodzą niemal zdruzgotani, a jakżeby inaczej. Jednak za każdym razem zyskują na sile, są bardziej odporni i mniej się boją, zbliżając się tym sposobem do dnia, w którym już niczego nie będą się obawiać.

– Rozumiem – powiedziała doktor Clemens. – Czy będzie to nieprofesjonalne, jeśli zapytam, skąd zrodził się pomysł na to, iż taka terapia może być skuteczna?

Doktor Ross przecesał ręką swoje krótkie, gęste loki.

– Prawdę mówiąc, oparłem ją na moich osobistych doświadczeniach. Kiedy byłem młodszy, bardzo obawiałem się wody i z tego powodu nigdy nie chciałem nauczyć się pływać. Możecie sobie tylko

wyobrazić, jak mi to utrudniało życie w Kalifornii, gdzie się wychowywałem.

Wstał od stołu i podszedł do swojej rozmówczynie, przystając za jej plecami. Słuchała go, jednak nie śledziła go wzrokiem.

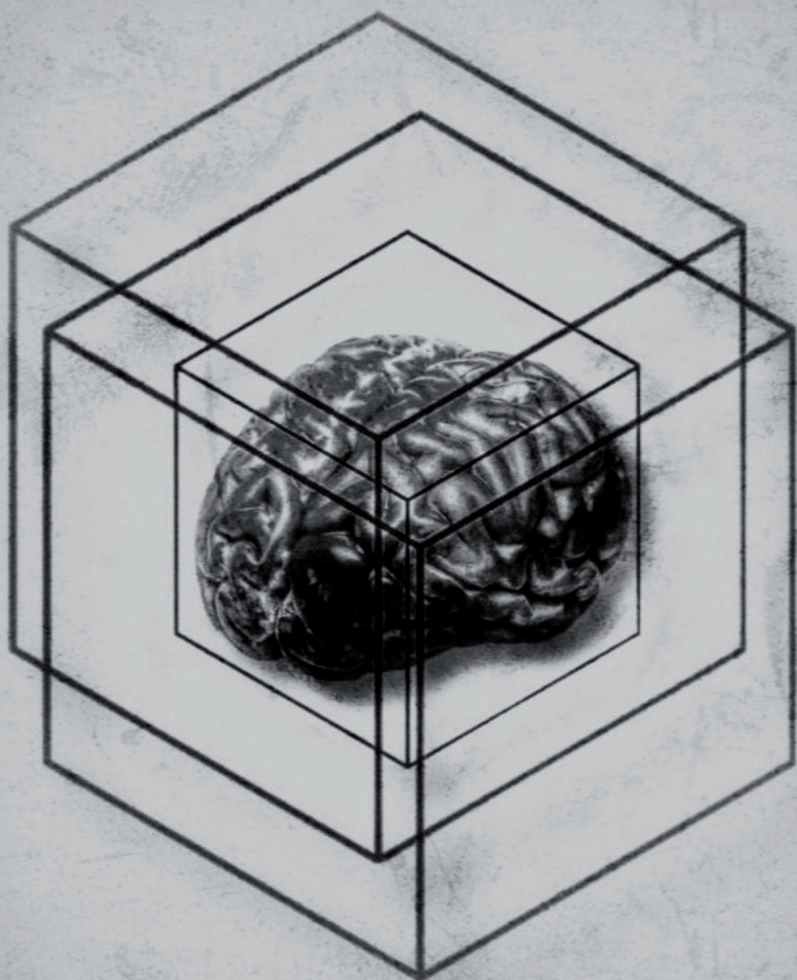
– Mój ojciec był znakomitym pływakiem – ciągnął dalej doktor Ross. – I tak jak większość ojców pragnął, żebym nauczył się robić to wszystko, co on sam umiał. I do tego żebym umiał to robić bardzo dobrze. Starał się przekupić mnie wiatrówką. Próbował przekonywać mnie za wszelką cenę, nawet krzykiem, lecz żadna z tych metod ani trochę nie zmotywowała mnie do nauki pływania. Tak więc pewnego dnia po prostu mnie podniósł i wrzucił do basenu.

– Chyba nie trzeba dodawać, że pan nie utonął – przerwała Clemens.

– Zgadza się, pani doktor. – Ross wyszczerzył się w uśmiechu. – I po prawdzie okazało się, że nie tylko pływam, ale też że potrafię to robić całkiem nieźle. Myślę więc, że pomimo uproszczenia, jest to adekwatne porównanie z tym, co robię z moimi cierpiącymi na różne fobie pacjentami. Ja ich po prostu wrzucam do basenu, żeby sami mogli odkryć, że potrafią pływać.

– Był pan całkiem młodziutki, kiedy ojciec panu to zafundował – skwitował Clegg. – To zapewne nieco ułatwiło sprawę.

– Zapewne – zgodził się z nim Ross. – W przypadku starszej osoby, u której fobia przez lata



determinuje codzienne nawyki, proces terapeutyczny będzie przebiegać dłużej. Na przykład u klaustrofobika, który przez całe swoje życie unikał metra, wind oraz zatłoczonych pomieszczeń, o ile stosunkowo szybko można przełamać opór przed głównym stresorem, o tyle jeszcze długo walczy się z powiązаныmi wzorcami zachowań.

Doktor Clemens podniosła swoją kopię z danymi i sprawozdaniami prelegenta.

– Sądzę, że uzyskałam już odpowiedź na nurtujące mnie pytanie, doktorze – uściśliła. – Z tego, co udało mi się przeczytać o pańskich postępkach, zdaje się pan odnosić dosyć znaczące sukcesy w stosunkowo trudnej dziedzinie terapii. Proszę wybaczyć mi mój początkowy afront. Ja również uważam, że należą się panu gratulacje.

Ross lekko się uklonił.

– Dziękuję bardzo – odrzekł ciepło, posyłając uśmiech w jej kierunku. Ta kiwnęła głową w geście potwierdzenia, nie odwzajemniając jednak uśmiechu.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze Ross, a co z pana starym kumplem, nadkomisarzem* Barnesem? – zainteresował się Clegg.

* W oryginalnym tekście postać ta nazywa się *Captain Barnes*. Amerykański stopień kapitana odpowiada polskiemu stopniowi nadkomisarza (przyp. tłum.).

– Barnesem? Na razie cisza – odpowiedział Ross, wracając na swoje miejsce.

– Udało się panu namówić go do wycofania skargi do więziennej komisji do spraw zwolnień warunkowych w sprawie pańskiego wykorzystywania skazanych przestępców jako króliki doświadczalne?

– Zapewniłem go, że nie prowadzę żadnego domu spokojnej starości dla niebezpiecznych maniaków, jeśli o to pan pyta. On po prostu jest surowym, rzeczowym gościem z bronią i odznaką. Trudno mu uwierzyć, że w ogóle istnieje coś takiego jak fobie, nie wspominając już o tym, że na przykład mogłyby one odpowiadać za całą przestępczą aktywność tych ludzi. Ale, powtarzając po raz kolejny, ostatnio ucichł. Sądzę, że po prostu czeka na rozwój wypadków.

Doktor Clegg złożył swoje okulary i wcisnął je z powrotem do kieszonki na piersi.

– Doktorze – zaczął. – Wierzę, że wszelkie obawy ze strony Komisji Etyki, z jakimi pan się spotkał, przysłużą się progresowi i dobru pańskich badań.

– Racja! – krzyknęła doktor Toland.

W odpowiedzi na jej reakcję Clegg zmarszczył jedynie brwi.

– Dostarczył nam pan również znakomity raport przedstawiający status projektu dotyczącego fobii, za co chciałbym panu podziękować. Nie sądzę, żebyśmy mieli jeszcze jakieś dodatkowe pytania czy komentarze. Mamy? Doktor Clemens?

Nie? A zatem skłaniam się ku zamknięciu tego posiedzenia.

– Popieram wniosek – rzucił doktor Forbes. Spotkanie zostało uznane za zakończone.

Doktor Clegg i Clemens od razu wyszli, podczas gdy doktor Forbes z powrotem usiadł na swoim krześle, wyciągnął fajkę i nabił ją tytoniem firmy Klompen Kloggen.

– „Chłopiec ze swoją fajką”, prawie jak u Picassa – droczyła się doktor Toland, okrążając z tyłu jego krzesło. – Założę się, że jeszcze pewnie masz w domu psa i kapcie w szkocką kratę!

Doktor Forbes podpałił tytoń.

– Tak po prawdzie, ta firma prowadziła kiedyś rubrykę z ogłoszeniami swoich wyrobów w „Playboyu” – odrzekł, wypuszczając dym kącikiem ust. – I zdecydowanie sprawiali wrażenie, że właśnie to jest jeden z najszybszych sposobów, aby pozbawić kobietę ubrań.

– Jak długo pan to pali? – zapytał doktor Ross, porządkując swoje papierzyska.

– Dwanaście lat.

– I jak wiele dziewczyn przez ten czas zdjęło dla pana swoje ubrania?

– A to już jest tajemnica zawodowa. Czy pan nie wie, że jestem z Komisji Etyki?

Ross chrząknął z rozbawieniem, przy czym upuścił plik wykresów. Starał się je chwycić, podobnie jak Toland. Pochylił się, aby je pozbierać dokładnie

w tym samym momencie co doktor, przez co prawie zderzyli się głowami. Natychmiast się cofnęła i uniósł ręce w geście poddania, jak zawodnik, który nie chce kłopotów.

– O, i tu się z tobą zgodzę – powiedziała ściszym głosem. – Nigdy nie potrafiłszy się ze sobą zgrać, mam rację?

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, przechylił jedynie nieznacznie głowę, niemo zadając jej pytanie. „Co właściwie próbujesz teraz zrobić? Próbujesz ponownie namieszać?” – pomyślał.

Toland udało się pozbiierać wykresy. Była wysoką kobietą. Uderzająco wysoką, z równie długimi rękami i nogami. Miała proste, obcięte na pazia włosy, które zdążyły już nieco poodrastać. Praca w szpitalu bardzo ją absorbowała, podobnie jak program dotyczący zdrowia psychicznego, więc niemal zawsze zapominała o umówionych w salonie fryzjerskim wizytach. Do tego miała ładne kości policzkowe i duże, inteligentne oczy. Ross wiedział wszystko o sposobie, w jaki się poruszała, kiedy coś ją wzburzyło.

Podawała mu wykresy i pokiwała głową w geście podziękowania.

– Nie ma chyba żadnego powodu, żebyśmy nie mogli zostać przyjaciółmi, prawda? – zapytała.

Doktor wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że nie. W zasadzie to już nimi jesteśmy, czyż nie? Czy ktoś w ogóle mówił kiedykolwiek, że nimi nie jesteśmy?

Zerknęła na doktora Forbesa, który puszczał dymki i słuchał. A gdy Ross również na niego spojrział, ten w pośpiechu wziął swoją teczkę i uniósł fajkę w geście pożegnania.

– Dobrze, już dobrze, właśnie zamierzałem wychodzić.

Kiedy był już w drzwiach, powiedział jednak:

– Dwie.

– Dwie? – Ross zmarszczył czoło. – Co dwie?

– Dwie dziewczyny zdjęły dla mnie swoje ubrania. Moja żona i moja dwuletnia córeczka.

– Dobra robota, doktorze Forbes – zaśmiała się Toland.

Drzwi, chybocząc się, zamknęły się z piskiem.

– A więc? To jak to jest z tymi przyjaciółmi? – powiedział doktor Ross.

– Peter – upomniała. – Doskonale wiesz, co mam na myśli. Wszystko zrobiłam źle. Zrobiłam wszystko to, o czym mówię moim pacjentom, aby nie robili, pod żadnym pozorem i bez względu na okoliczności, w jakich się znajdują. Nie wiesz, że szewc bez butów chodzi? Chciałabym jednak, abyś wiedział, że koniec z tym. Nigdy więcej hysterii. Nigdy więcej wiercenia dziury w brzuchu. To koniec.

Ross odwrócił wzrok zawstydzony. To wszystko to był jeden wielki syf i chaos. Rozmowy telefoniczne w środku nocy, głupawe liściki, czasy kiedy wracał do swojego domu z późnych spotkań z doktorem Cleggiem tylko po to, by zastać ją ponownie

czekającą na niego na schodach prowadzących do jego apartamentu.

– Proszę – powiedział. – To nie ma znaczenia.

– Ależ to ma znaczenie – upierała się. – Mówiłeś mi, że cię osaczam i tłamszę, i naprawdę tak było. Teraz już to wiem. Peter, ja nawet nie wiem, kim była ta zazdrosna kobieta, bo na pewno nie byłam to ja. Szczerze.

– W porządku. Chyba przyjmuję to do wiadomości. A teraz wybacz, ale naprawdę muszę...

– Posłuchaj – przerwała mu. – Jedyne, czego pragnę, to szansy, aby udowodnić, że ta kobieta-bluszcz zmieniła się na lepsze. Pragnę takiej szansy jako twoja przyjaciółka. Jako koleżanka z pracy albo jako zagorzała wielbicielka. Proszę. Dobrze?

Doktor Ross wsadził swoją skórzaną teczkę pod pachę.

– Alice. Ta rozmowa zaczyna przybierać niedorzeczny kierunek. Nigdy nie przestałem być twoim przyjacielem i nie zamierzam przestać.

– A więc zgoda?

Zaoferował jej swoje ramię.

– Chodźmy już. Przede mną ciężkie popołudnie.

– Coś związanego z projektem dotyczącym fobii?

Wyszli na korytarz i ruszyli przed siebie.

– Moja pacjentka cierpiąca na agorafobię jutro udaje się na samodzielną wycieczkę na zewnątrz.

– Boi się?

Skinął głową.

– Jest przerażona, ale sądzę, że jest już gotowa.

– Z rozkoszą przeczytałabym kiedyś twoje wszystkie notatki. W ogóle uważam, że cały twój projekt jest niesamowity.

– Nie przypuszczałem, że może cię interesować behawioryzm i warunkowanie. Sądziłem, że raczej jesteś zapaloną wyznawczynią Adlera...

– Ciekawi mnie motywacja.

Doktor Ross ucichł w drzwiach korytarza podpisanych „SKRZYDŁO TITUSA E. FROBISHERA”.

– Cóż – westchnął z uśmiechem, który był bardziej niż uprzejmy. – Zgaduję, że każdy z nas interesuje się motywacją, kiedy przychodzi co do czego.

– Peter...

– Widzimy się później – rzucił i popchnął podwójne wahadłowe drzwi.